Pobudka na pustyni o 6 rano. Śniadanko nie z tej ziemi, świeże owoce, między innymi papaje i mango, tosty, chai i ciasteczka. Niestety wszystko co dobre kiedyś się kończy, tak więc jeepami wróciliśmy do hotelu w The Golden City. Na zwiedzanie tego bajkowego miasta wybrała się niestety niepełna grupa, gdyż niektórych złapały problemy żołądkowe. Ci, którzy mogli pozwolić sobie na wyjście z ubikacji (ładnie mówiąc) poszli oglądać kilkusetletnie Hawele, czyli ozdobne kamienice kupieckie z żółtego piaskowca, typowe dla tego miejsca. Mieliśmy też trochę czasu na drobne zakupy. Radżastan jest regionem słynącym ze swojego rzemiosła. Produkowane tutaj są nie tylko wspaniałe materiały jak te z Jaipuru, ale również przepiękne skórzane przedmioty. Na drogach jak zwykle krowy, jak zwykle bezpańskie psy, wyprana bielizna idealnie komponująca się z ciasnymi uliczkami Złotego Miasta. Tyle kontrastów, że aż głowa boli. Mam wrażenie, że wszystko to może ze sobą współgrać jedynie w Indiach. O 23.30 ruszamy w dalszą drogę – kierunek Jodhpur.

Rano niebo było błękitne, a chmury rozlane jak mleko (to właśnie pomyślałam sobie zaraz po przebudzeniu). I brakowało mi szklanki zimnego mleka.

Fort Jaisalmer jest pełen pracy ludzkich rąk. Sprzed paru wieków. Uliczki czyste (są kosze na śmieci!), wąskie, piękne, drzwi z ulicy prowadzą schodami do restauracji na dachach (słowo klucz: rooftop). Rzeźbione w piaskowcu, z niezliczoną ilością różnych ornamentów, zwieńczeń, zdobień, kolumienek, całe fasady ażurowe, świetnie zachowane, żyjące wiatrem. Pięknie. Chyba najpiękniej dotychczas.